

Wściekli czy uzdrowieni?

O współczesnych „retrotopkach męskości”, zawiedzionym poczuciu uprzywilejowania, populizmie, pornografii i kobiecym gniewie

z profesorem Michaellem Kimmlem
rozmawia Wojciech Śmieja

Czy czuje się Pan prorokiem? Pańska książka *Angry White Men. American Masculinity at the End of an Era* z 2013 roku często nazywana jest proroczą – ponoć przewidział Pan w niej „erę Trumpa”.

Istotnie, książka pierwotnie ukazała się w 2013 roku, ale nazwiska Trump nigdzie w niej nie ma, nigdzie. Pojawia się w niej nawet argument, że liczba „wściekłych białych mężczyzn” spada, ale wzrasta ich widoczność, szczególnie online. Lecz gdy Trump został wybrany w 2016 roku, mój wydawca zadzwonił do mnie i powiedział: „O rany, ty to przewidziałeś” – i zdecydowaliśmy się na drugie wydanie z przedmową odnoszącą się do wyboru Trumpa, więc w pewnym sensie można powiedzieć, że go przewidziałem, że z perspektywy 2017 wyglądało to jak przepowiednia. Udało mi się dostrzec, że to nadchodzi – widziałem gniew różnych grup białych mężczyzn, którzy postrzegają siebie jako ofiary. Pozwoliłem sobie to nazwać „zawiedzionym poczuciem uprzywilejowania” (*aggrieved entitlement*). Uderzyło mnie przekonanie, że ci mężczyźni są ofiarami. Dziś mówi się o tym powszechnie – oto mamy bogatego białego mężczyznę kandydującego do Sądu Najwyższego (sędzia Brett Kavanaugh), który mimo to jest ofiarą! Donald Trump był niezwykle skuteczny w przekonywaniu, że mimo swojego majątku i ogromnych wpływów jest ofiarą i każdy go prześladowa, szczególnie media. I udało mu się przekonać

miliony ludzi – ciekawe, prawda? Musimy wziąć pod uwagę to, że kiedy dorastałem, Stany Zjednoczone były największym, najsilniejszym, najbardziej wpływowym państwem świata. Z Ameryką się nie zadzierało. Choć był Związek Radziecki, to my byliśmy pierwsi! I Trump przekonał nas, że dziś jesteśmy ofiarami – Kanadyjczyków, Chińczyków, Meksykanów, walczących ze zmianami klimatu, NATO, OECD i UE... Tak, wszyscy oni żerują na nas. Duża część Amerykanów widzi świat tak, jak im to mówi Trump. Nie można komuś, kto czuje się ofiarą, powiedzieć, że w gruncie rzeczy jest uprzywilejowany, bo on zawsze odpowie: „Oszalałeś? *Oni* są przy władzy, *oni* rządzą naszym kosztem. Nie zasługujemy na to, bo to właśnie my powinniśmy rządzić, a uczyniono z nas ofiary”. Tak mówi Trump.

No dobrze, mówimy o Trumpie, ale co z mężczyznami?

Myślę, że dobrze było widać, co z nimi, przy okazji sprawy Kavanaugh – oglądał Pan?

Nie dało się nie... Każdego ranka w wiadomościach.

Można się zastanowić, patrząc na Kavanaugh, nad problemem męskiego uprawomocnienia i męskiej kruchości, nad przekonaniem, że dziś mężczyźni są ofiarami. Na tym polega chyba największy sukces republikanów – czy wiesz,

że dziś w USA to większy odsetek białych niż czarnych twierdzi, że jest rasowo dyskryminowany?

Nieprawdopodobne.

Tak, to nie do wiary. Ale to „bierze”, szczególnie wśród białych stanowiących bazę wyborczą Trumpa, którzy czują, że nie dostają tego, na co zasługują. I w tym uczuciu właśnie chodzi nie o to, że nie dostajesz tego, czego chcesz, ani tego, na co zasługujesz. To jest fundament tego zawiedzionego uprzywilejowania.

Kiedy mężczyźni poczuli to zawiedzione przywilejowanie?

W pewnym sensie to kwestia dziedzictwa. Odziedziczyliśmy przekonanie, że mój dom to mój zamek, że *it's a man's world*, jak śpiewał James Brown. Właściwie „od zawsze” wierzyliśmy, że to jest „nasz świat”. Gdy kobieta chciała weń wstąpić, mogła, ale zawsze na naszych warunkach. Powinna być taka jak my, wyznawać nasze wartości. Zatem w pewnym sensie poczucie uprzywilejowania jest „odwieczne”, przez nie wyraża się przywilej. Jeśli masz przywilej, inni powinni cię słuchać. Zawiedzione oczekiwanie przywileju jest silne zwłaszcza w dwu grupach: w niższej klasie średniej i wśród *working class*. Ma to związek z globalizacją, która spycha te klasy w dół społecznych stratyfikacji. Szczególnie mocno czują tę utratę pozycji. Mężczyźni porównują się z ojcami czy dziadkami i mają wszechogarniające poczucie utraty. Jeśli posłuchasz języka prawicy gdziekolwiek na świecie, zapewne także i w Polsce, to usłyszysz, że jest to język ruchu wstecz: jest „odzyskiwanie”, „odbieranie”, „odbijanie”, nie ma ruchu w przód.

Dlatego właśnie mówimy o retrotopii.

Tak, to ruchy konserwatywne i reakcyjne, nostalgiczne, patrzące wstecz na coś, co już upadło, czego już nie ma.

To dlatego kobiety mniej chętnie przystają do tych ruchów? To dlatego współczesne konflikty społeczne w krajach Zachodu są tak bardzo naznaczone genderem?

Tak i nie. Częściowo masz rację, piszę o tym zresztą w *Angry White Men*. Gdy zrobiło się głośno o Tea Party w latach 2005–2006, można było dostrzec, że nie jest to aż tak bardzo męski ruch, jak by się wydawało...

No tak – Sarah Palin...

Otóż to! Sarah Palin. Ale także wiele innych kobiet... Co rozumiałem z tego wówczas jako badacz męskości? Otóż większość tych kobiet występowała nie tyle jako kobiety, ile jako gospodynie domowe. Ich wściekłość wynikała z tego, że musiały pracować zarobkowo, zamiast zajmować się dziećmi i domem, do czego czuły się upoważnione. Czuły się upoważnione tak samo jak ich babki czy matki, tymczasem musiały sobie stawiać pytania: „Dlaczego muszę pracować zarobkowo? Dlaczego? Bo ci emigranci wzięli pracę, która należała się mojemu mężowi, i nasze dochody są zbyt niskie w związku z tym”. Tak rozumowały kobiety z *working class*, bo kobiety z klasy średniej zasadniczo walczyły o możliwość pracy zawodowej. Tak więc kobiety w Tea Party to kobiety w roli żon i matek. I w tym sensie doświadczają tej samej nostalgii co mężczyźni. Tea Party znakomicie to zresztą rozgrywa. A męskość? Męskość, szczególnie w Stanach, była rodzajem kontraktu, transakcją. Uczono nas: jeśli będziesz ciężko pracował, jeśli będziesz płacił podatki i będziesz dobrym obywatelem, po pierwsze, będziesz mógł utrzymać swoją rodzinę, a po drugie, będzie cię stać na kupienie domu. Z tym wiąże się od pokoleń poczucie męskości przeciętnego białego Amerykanina. Z przyczyn ekonomicznych wielu mężczyzn z *working class* nie jest w stanie tego zrobić. Kontrakt nie działa. Ich żony muszą ciężko pracować, nie stać ich na zakup domu, są spychani w dół drabiny dochodowej i społecznej, w związku z tym nie czują się już w pełni mężczyznami. I tu wracamy do modelu retrotopijnego, w którym zawiera się obietnica odtworzenia świata ich ojców. Oto mamy bowiem facetów, których ojcowie mieli małe farmy albo sklepiki – jedne i drugie unicestwił Wal-Mart. Bawiąc się w psychoanalitików, wczujmy się w ich sytuację: mają dylemat, bo oto ich rodzice mieli ten sklepik, który trzeba było zamknąć po wejściu Wal-Martu... Co jest polskim odpowiednikiem?

Lidl, Biedronka, sporo ich u nas...

Właśnie... Więc stoisz przed wyborem: kogo obwinąć za klęskę? Ojca? W żadnym razie! Obwiniasz rząd...

Ja obwiniałbym „system”.

Zatem, pozostając przy języku psychoanalizy, oni niejako ratują swoich ojców, kierując gniew na system. Pewnie niektórzy obwiniają ojców, ale wówczas nie wybierają skrajnej prawicy... Faceci, z którymi rozmawiałem, nie winią ojców, których postrzegają jako ofiary, tylko obwiniają system, który im to zrobił...

Prawie wszystko, czym się Pan zajmuje, dotyczy „męskości”. Jak Pan ją albo je (w naukach społecznych często mówi się o „męskościach” – W.Ś.) definiuje? Skąd to wielkie znaczenie „męskości”?

Jako przedstawiciel nauk społecznych wywinę się od odpowiedzi, bo jako socjolog wiem, że moja definicja męskości nie ma większego znaczenia, ma znaczenie to, co mężczyźni myślą o męskości i jakie wartości z nią wiążą, co w niej dla nich ważne, jak się do tego dostosowują. Siła fizyczna, wpływy, ekonomiczna niezależność, środki obrony rodziny – oto zestaw historycznie istotnych mierników męskości w USA. Mężczyzna to przede wszystkim *breadwinner*, żywiciel rodziny. Mężczyzna przynosi paski z wypłaty. Pracuje. Żona zostaje w domu. Jeden z przyjaciół mojego ojca z młodości zapytał go, czy pozwoli swojej żonie pracować. Serio, tak brzmiało to pytanie. Ojciec odpowiedział: „Nie musi, ja powinienem pracować na rodzinę. To moja rola”.

Trochę jak w Ojcu chrzestnym.

Otóż to, czy jesteś jak ojciec chrzestny, Don Corleone ucieleśniający tradycyjny model męskości i wartości rodzinnych, czy jak Michael, dla którego ważny jest tylko biznes i może, jeśli trzeba, zabić swojego brata, to zawsze chodzi o to jedno, o bycie ojcem i żywicielem rodziny. Wydaje mi się, że wielu Amerykanów wciąż jest przekonanych o słuszności tego modelu. Mężczyźni chcą odnosić sukcesy w pracy, chcą być dobrymi ojcami, mężami, partnerami. I chcą czuć się męsko w oczach innych mężczyzn. W moich badaniach podkreślam ten aspekt męskości nazywany „homospołecznością” jako niezwykle ważny. Wciąż jesteśmy oceniani przez innych mężczyzn, inni mężczyźni nas osądzają, dozorują nas w naszej męskości. Dlaczego mówimy o „męskościach” w liczbie mnogiej? Otóż różne grupy mężczyzn w różny sposób realizują swoją męskość, która co innego znaczy dla czarnego starszego geja z Chicago, a co innego dla heteroseksualnego białego chłopaka z farmy w Iowa. Oczywiście prócz różnic są też zbieżności. Pewnie z męskociami w Polsce jest podobnie... Jakie jest najbardziej kosmopolityczne miasto w Polsce? Czy to Warszawa?

Zapewne tak, Warszawa...

Co to znaczy być dziś młodym mężczyzną w Warszawie? Zapewne to trochę co innego niż być chłopakiem z gospodarstwa gdzieś na głębokiej prowincji?

Ta różnica jest widoczna choćby w ubiorze, wyborach muzycznych, sposobach spędzania wolnego czasu i tym podobnych. Młodzi warszawiacy są chyba „globalni”, podobniejsi do swoich rówieśników w Nowym Jorku niż do chłopaków z podkarpackiej wsi...

No właśnie – zatem nie można mówić w imieniu jakiejś „polskiej męskości”, ignorując fakt, że młody Polak z Warszawy i Francuz z Paryża mogą mieć więcej wspólnego ze sobą niż z krajanem mieszkającym na prowincji. Taka zglobalizowana forma męskości popularyzowana jest w mediach społecznościowych, kulturze popularnej, telewizji i tak dalej. Podam przykład tego, jak to działa – Indonezja to najliczniejszy kraj muzułmański. Nie ma w niej tradycji noszenia przez kobiety hidżabów. Ale odkąd pojawiła się tam saudyjska Al-Dżazira, kobiety zaczęły nosić hidżaby, bo tak prezentowana jest kobiecość w tej globalnej telewizji będącej w rękach Saudyjczyków, a w Arabii Saudyjskiej hidżaby się nosi. W ten sposób działają media, które jedne różnice spłaszczają, inne uwypuklają.

Męski gniew rośnie w miarę tego, jak cywilizacja przemysłowa, kapitalistyczny model produkcji i liberalna polityka okazują się niewydolne. W tytule swojej książki pisze Pan o „końcu ery”. Inni autorzy diagnozują podobnie: Zygmunt Bauman czy Yuval Noah Harari wskazują na problem „nieistotności mas ludzkich”, Francis Fukuyama pisze o zawiedzionym poczuciu godności. Czy męskość, jaką znamy, skazana jest na wyginięcie? Czy mężczyźni to dinozaury? Czego możemy się spodziewać?

Kiedy pisałem *Angry White Men. American Masculinity at the End of an Era*, miałem na myśli erę niekwestionowanego, niepodważalnego męskiego uprzywilejowania. Sam w niej wyrosłem – odkąd pamiętam, każdy członek Kongresu, każdy szef korporacji, każdy przywódca polityczny był mężczyzną – taki znałem świat. Towarzyszące mu założenie o męskiej władzy, o tym, że sto procent decyzyjnych stanowisk powinno należeć do mężczyzn, prowadzi do zawodu oczekiwania mężczyzn współczesnych. Jest on dziś wszechobecny, bo ta epoka się skończyła. Oglądał Pan przesłuchania – widać w nich jak w soczewce to zakwestionowanie przywileju. Patrząc na to szerzej, a o to zdaje się chodzi w pytaniu – bez względu, czy słusznie, czy nie, wizja amerykańskiego mężczyzny zawsze zakładała niezależność, samodzielność, to był kraj self-made manów. Ale to nie działa w skali globalnej – rynek wypycha mężczyzn z klasy robotniczej i niższej średniej. Przestają

być potrzebni, tracą ten element niezależności, autonomiczności, tracą poczucie, że ich praca należy do nich... Świetnie się tu sprawdza idea alienacji, o której mówił Marks – chodzi o utratę kontroli nad pracą i jej produktem skutkującą alienacją pracownika, co mocno wiąże się także z poczuciem męskości. Zatem jeśli myślimy o końcu ery w sposób tak szeroki (swoją drogą Marks przewidywał, że wchodzimy w ostatnie fazy kapitalizmu w 1865 r.), to odpowiem, że pojęcie męskości wydaje mi się wciąż funkcjonalne i ważne. Nie powinniśmy wylewać dziecka z kąpielą... Ujmę to tak: otóż w naukach społecznych, takich jak socjologia czy psychologia, wmawialiśmy sobie przez ostatnie lata jedno: że istnieje jakaś ideologia męskości, że ona jest zasadniczo niezmienna, choć zachowania mężczyzn bardzo się zmieniają. W efekcie mamy wielu mężczyzn przywiązanych do tej ideologii. Ucieleśnia ją Schwarzenegger: zero uczuć, zero emocjonalnych więzi, ale obok jest całkiem wielu zupełnie innych mężczyzn: zaangażowanych wychowawczo, emocjonalnych, wrażliwych i partnerskich. Między ideałem a praktyką rośnie przepaść, którą opisywaliśmy, ale ostatnio dostrzegamy, że ten pozornie niezmienny ideał też nieco się zmienił. Mężczyźni wciąż wierzą, że trzeba być silnym i mieć władzę, ale równie ważne jest przeżywanie ojcostwa, emocjonalna dostępność w związkach. Kiedyś mówiono: „chłopaki nie płaczą”. A dziś? Debatuje się, czy aby na pewno, czy to dobrze... Wydaje się, że to poluzowanie ideałów męskości pozwala mężczyznom na pewną elastyczność: raz mogą być „twardzi”, kiedy indziej pozwalają sobie na emocjonalność bez poczucia zagrożenia dla ich męskiej istoty.

Dostrzegam to w zmieniających się modelach ojcostwa – mój ojciec był zupełnie innym ojcem, niż jestem ja. Wspomniał Pan o sztywnym modelu i plastycznych zachowaniach. Między jednym a drugim pojawia się kultura popularna jako silny środek oddziaływania na mężczyzn: idole popkultury dostarczają modeli zachowań, kreują mody...

Do tego zagadnienia można odnieść się na kilka sposobów. Nie mam wątpliwości, że media dostarczają surowca, dzięki któremu tworzymy nasze męskości. Prawdą jest również, że media wciąż się brutalizują, sporo w nich hipermaskulinizmu. Wystarczy spojrzeć na figurki G.I. Joe. Gdyby je ożywić, pomarłyby z głodu, bo mają tak rozbudowane bicepsy, że nie sięgnęłyby łyżką do ust. Z drugiej strony jednak nie jest tak, że jesteśmy biernymi konsumentami obrazów. Wciąż je kształtujemy i przetwarzamy na nasz użytek. Gdy przychodzi do mnie matka dziecka

i uskarża się: „Jezu, on ciągle gra w gry komputerowe i ma dostęp do pornografii. Czy będzie potrafił odnaleźć się w społeczeństwie?”, odpowiadam: „Jasne!”. Oczywiście, że media mają na nas wpływ – inaczej nie byłoby reklam, nie działałyby, ale problemem nie jest to, że dzieci z nimi obcuje. Rzecz w tym, żeby nauczyć je, jak świadomie z nich korzystać. Możemy wyposażyć je w niezbędne konteksty poznawcze. Na przykład w odniesieniu do pornografii. W USA, a w Polsce pewnie jest jeszcze gorzej, większość nastolatków nie ma dostępu do edukacji seksualnej. A gdy już ma, to cała ta edukacja seksualna nakierowana jest na to, by seksu jednak nie uprawiać...

Ha, ha, ha...

Wszystko kręci się wokół chorób przenoszonych drogą płciową, przemocy i moralności. Nie ma słowa o przyjemności – w tę lukę wchodzi pornografia. Chłopcy zaczynają wierzyć, że seks wygląda tak jak na filmie... Jesteś politykiem i co robisz? Zakazujesz? Ale możesz też się zastanowić nad tym, jak stworzyć kontrnarrację. Opowiedzieć, jak seks wygląda naprawdę i na czym polega. Tu jest praca do wykonania – stworzenie kontrnarracji dla opowieści pornograficznej. To też nasze zadanie – ja jestem ojcem, pan jest ojcem. Możecie o tym rozmawiać, oglądając wspólnie telewizję. Pamiętam, kiedy mój syn miał może cztery lata, oglądaliśmy jakiś rapowy teledysk, a on nagle spytał: „Tato, dlaczego w tych wszystkich teledyskach dziewczyny mają stroje kąpielowe, a chłopcy nie występują w kąpielówkach?” Dobra obserwacja, prawda? W wieku czterech, pięciu lat mój syn zaczął reagować na to, co widzi – uczenie krytycznego odbioru popkultury to jest przestrzeń współpracy między rodzicami i szkołą!

Tak, lecz wpierw chyba sami rodzice powinni być świadomi mechanizmów działania mediów i tego, jaki mają na nas wpływ...

Naturalnie, to pierwsza rzecz, a druga to pewien rodzaj odwagi. Wielu rodziców boi się rozmowy z dzieckiem o seksualności, także o przyjemności seksualnej...

To może być najtrudniejsze.

Gdy byłem dzieckiem, mieliśmy jedną lekcję na ten temat. Miałem może jedenaście, może dwanaście lat. Pamiętam nauczycielkę przedstawiającą nam podstawowe fakty, że mężczyzna wkłada członek w pochwę. Wszyscy byli poruszeni: „Co robi? Co?”. Podniosłem wtedy rękę i nieśmiało

zapytałem: „Dlaczego? Dlaczego oni to robią?”. Nauczycielka oblała się rumieńcem i odpowiedziała krótko: „Bo to przyjemne”. Tak wyglądała cała moja edukacja seksualna w szkole.

Świetne! Pańska ostatnia książka *Healing from Hate* stanowi kontynuację *Angry White Men*. Skupił się Pan w niej na różnych ruchach ekstremistycznych – od neonazistów po dżihadystów – by ukazać ich emocjonalne podglebie. Twierdzi Pan, że polityczny wymiar tych ruchów ma drugorzędny charakter, bo prawdziwą przyczyną ich popularności jest to, iż oferują one swoiste więzi emocjonalne – na całym świecie podobne. Jaki to rodzaj więzi? Dlaczego są one tak ważne dla młodych mężczyzn? Co jako społeczeństwo możemy zaoferować młodym mężczyznom w zamian?

Moim celem było uzupełnienie badań nad tym, co nazywamy deradykalizacją – obszerna literatura przedmiotu dotyczy tego, jak się do takich grup młodzi ludzie, głównie mężczyźni, przyłączają, a następnie jak z nich wychodzą; co należy zrobić, aby im pomóc z nich wyjść. Badacze tego zagadnienia analizują profile społeczne, ekonomiczne, polityczne, dochody, dynamikę rodzinną, perspektywy zawodowe, czynniki kulturowe, religię, kulturowe normy płci... Moją książką chciałem dołożyć jeszcze jedną cegiełkę – chodzi o męskość, która w żaden sposób nie unieważnia poprzednio wspomnianych zmian, ale musi być wzięta pod uwagę, ponieważ poczucie męskości znajduje się na początku i na końcu doświadczenia ekstremizmu, który jest doświadczeniem weryfikacji, uznania w męskości. Pierwsze pytanie dotyczy tego, jak chłopcy w to wchodzą. Jako socjolog od razu zastrzegam, że nie badałem wszystkich, lecz tylko tych, którzy później wyszli; ci, którzy pozostają w szeregach, są być może nieco inni... Udało mi się dostrzec, że wielu spośród rekrutowanych dołączało do ruchu po to, by przeżyć coś, co nie ma wiele wspólnego z ideologią. Nie chodziło im ani o supremację białej rasy, ani o bycie koniecznie członkiem organizacji nazistowskiej czy walkę w imię dżihadu, ale raczej o to, by doznać czegoś na poziomie emocjonalnym, bliskości, braterstwa, wspólnoty, rodzinności. Wielu spośród tych chłopaków było bitych lub molestowanych w rodzinach, często przez ojczymów, wielu wyrzuconych z domów w wieku jedenastu czy dwunastu lat, musieli żyć na ulicy – do ruchu przychodzili ze świata, w którym byli kompletnie sami, bez perspektyw na pracę, bez rodziny, często bez przyjaciół, „dojeżdżani” w szkole, jeśli w ogóle do niej chodzili.

Przegrywy?

Tak, przegrywy; ich rekrutacja zaczynała się nie od tego, że ktoś im mówił: „To jest faszystowska ideologia, spodoba ci się”, ale raczej od tego: „Hej, może spotkałbyś się z nami? Mamy fajne imprezy, dużo się pije i są panienki, prochy, potem idziemy w miasto sprać jakiegoś emigranta. Jest super!”. I w ten sposób chłopcy przystają. To, co dostają, to nie ideologia, ale poczucie akceptacji, docenienie, uznanie ich w ich męskości. Słyszą: „Jesteś prawdziwy facet, jesteś jak brat!”. Być może po raz pierwszy w życiu słyszą coś takiego, a później, gdy już to uczucie związku zostaje wzbudzone, dochodzi misja na przykład dotycząca poświęcenia dla utrzymania białej rasy. Tak jak to notuję w *Healing from Hate* w wypowiedzi jednego z byłych neonazistów: „Podchodziłem do nastolatków po szkole. Rozglądałem się za chłopakami w kurtkach bomberkach czy martensach. Zazwyczaj nie byli uświadomieni politycznie, ale z jakiegoś powodu uznawali, że fajnie jest wyglądać prawicowo. Pierwszą rzeczą, którą im pokazywałem, było to, że chcę się zaprzyjaźnić, wspólnie się włóczyć, a ponieważ byłem starszy, stanowiło to dla nich wyróżnienie. Trzeba się było zachowywać trochę jak starszy brat: wspólne wyjścia do lasu i zabawy harcerskie, budowanie jakichś obozów czy inne podchody. I zawsze przy okazji odrobina ideologii antyimiigranckiej, trochę rasistowskiego opowiadania o różnicach rasowych. Zawsze na początku jednak trochę przy okazji się o tym mówiło”. Więc teraz, jeśli spotykasz takiego chłopaka i chcesz, żeby opuścił organizację, to co mu powiesz? Że jego interpretacja tego fragmentu *Mein Kampf* jest błędna? Spójrz na ciebie jak na głupka i spyta: „O czym ty mówisz, człowieku? Jaka interpretacja? Ja nie mam pojęcia, co tam jest napisane, nigdy tego nie czytałem”. Musisz mu powiedzieć co innego – że jeśli opuści ruch, będzie mógł odnaleźć sens wspólnoty, bliskość, braterstwo z innymi ludźmi, że będzie miał gdzie wylądować, że będzie miał na czym oprzeć swoją męskość – wtedy może z tobą porozmawia. Wszystkie organizacje byłych ekstremistów, które przedstawiam, EXIT w Szwecji i Niemczech, Life After Hate w Stanach, eksdżihadysty w Wielkiej Brytanii powstały dzięki ludziom, którzy przeszli doświadczenie radykalnej wspólnoty; to ludzie, którzy musieli na nowo adaptować się do świata społecznego, którzy wiedzą, jakie to ciężkie doświadczenie.

Kojarzy się trochę z doświadczeniem AA...

Albo z sektą. Tylko ktoś, kto w niej był, będzie wiarygodny dla tego, kto chce wyjść, rozumie jego uczucia,

podziela je. Dlatego właśnie byli członkowie grup ekstremistycznych są tak ważni. Nie da się wytłumaczyć wzrostu popularności prawicowego ekstremizmu w Polsce, na Węgrzech czy w USA tylko w powyżej przedstawiony sposób, ale nie można też lekceważyć tych emocji związanych z męskością, choćby dlatego, że same te ruchy na nie zwracają szczególną uwagę.

Szkoda, że nie mamy tego typu organizacji w Polsce, gdzie aparat państwa zdaje się nawet wspierać takie ruchy. „Maczystowska polityka” ma się świetnie na całym świecie – od Rosji, przez Polskę, USA, aż do Brazylii. Dlaczego społeczeństwa wybierają takie męskie figury, mężczyzn reprezentujących najwsteczniejszą i prymitywną patriarchalną męskość, często niezwykle przy tym agresywną?

Mamy dwie odpowiedzi, łatwiejszą i nieco bardziej złożoną. Pamiętaj, co mówiłem o upadku ojców? Potracili swoje farmy, pozamykali sklepy, nie dali rady, ale my potrzebujemy ojca, silnej ojcowskiej figury i to, co widzimy w polityce, to zastępowanie rzeczywistych ojców ojcami politycznymi. W populizmie idea silnego samca jest niezwykle mocno zakorzeniona: mocny typ, który da wyraz swojemu panowaniu, o którym ty nawet nie możesz zamarzyć. To widać u Trumpa – w czasie kampanii często powtarzał, że USA mają wiele problemów, ale on SAM potrafi sobie z nimi poradzić. Myślę, że podobnie jest na Węgrzech czy w Polsce. Co będzie z Niemcami, Wielką Brytanią czy Francją? To prawdziwe zmartwienie. Trzecia wojna światowa nie będzie trwała czterech czy pięciu lat, tylko, jeśli wybuchnie, 20 minut. Druga odpowiedź łączy się z tym, że wiele zachowań kodujemy jako „męskie” albo „kobiece”. Negocjujący stanowiska, mówiący o różnicach, szukający porozumienia Obama – toż to właśnie wszystko było „kobiece”. Twarde *don't fuck with us*, nieustępliwość – to jest męskie. Po ośmiu latach Obamy...

Zatem demokracja jest kobietą?

No tak właśnie... Po tych ośmiu latach Obamy stawiamy pytania: dlaczego wciąż mamy słuchać innych? Róbmy, co się nam podoba! Idea demokratyczna, szczególnie jeśli realizowana w ramach państwa opiekuńczego, które dzieli pieniądze z twoich podatków tak, by wesprzeć innych ludzi, które się „opiekuje”, taka idea jest kobieca. Socjalizm zawsze był kodowany jako kobiecy, ponieważ zakładał dzielenie się, a dzielenie się jest kobiece. To, co dziś dzieje się w Polsce i na Węgrzech, stanowi moim

zdaniem reakcją na lata komunistycznej dominacji, przymusu kolektywizacji i zrównywania wszystkich. Dziś jest to odreagowywane.

W Polsce i na całym świecie kobiety organizują się, by powstrzymać retrotopię męskości, hegemonię patriarchy, by sprzeciwić się męskiemu uprzywilejowaniu – myślę, że powinniśmy pomówić o gniewie kobiet i jego roli w formułowaniu polityki progresywnej. O ile dobrze zrozumiałem *Healing from Hate*, twierdzi Pan, że ten ogromny ruch protestu skazany jest na porażkę, jeśli nie włączą się weń także mężczyźni...

Z pewnością kobiety są wściekłe. I powinny być, mają do tego pełne prawo. Rzeczywiście jest tak, że gniew rodzi gniew, lecz gniew kobiet jest wynikiem oburzenia niesprawiedliwością. Mając z nią do czynienia, możesz albo ją zaakceptować, albo walczyć. Gniew jest emocją dającą nadzieję. W gniewie jest wiara, że niesprawiedliwość da się zwalczyć. Depresja i rozpacz są innym obliczem gniewu. To gniew uwewnętrzniiony. Dlatego gniew kobiet jest zdrowy, choć jestem przekonany, że wywoła reakcję drugiej strony. Mężczyźni często czują, że nie ma dla nich miejsca na tym świecie, że są wygnańcami, boją się gniewu kobiet. Ton rewanzu było słychać podczas zaprzysiężenia Kavanaugha, kiedy wielu męskich komentatorów odczuwało przyjemność z tego faktu, z porażki kobiet oskarżających sędziego, celebrowano to jako zwycięstwo. Gniew jest niezbędny dla społecznej zmiany, ale gniew nie wystarcza. Musi być odpowiednio kanalizowany, musi znaleźć się dla niego uzasadnienie. Trzeba umieć sobie powiedzieć: „Mogę być wściekły/a na to czy owo”. Wielu mężczyzn, mówiąc o feminizmie, myśli: „One są na nas wściekłe. Nienawidzą mężczyzn”. Należałoby im odpowiedzieć, że nie chodzi o nienawiść wobec mężczyzn, tylko wobec niesprawiedliwości i mężczyzn, którzy ją wspierają, i ten gniew jest uzasadniony, tak samo jak uzasadniony był gniew czarnych na dyskryminację rasową.

Jest Pan optymistą, na końcu książki cytuje Pan jednego eksneonazistę, który twierdzi, że dzięki doświadczeniu działania w organizacji nazistowskiej jest dziś lepszym człowiekiem. Czy możemy generalizować i powiedzieć, że po doświadczeniu prawicowych retrotopijnych populizmów nasze społeczeństwa staną się lepsze?

Bardzo dobre pytanie!

Dziękuję.

Tak, jestem optymistą, ponieważ pisząc swoją książkę, miałem sposobność spotkać tych wszystkich mężczyzn, którzy robili godne pożałowania rzeczy i działali w ruchach, które chętnie by mnie unicestwiły, a mimo to zmienili się. Właśnie tak – przeszli zmianę, więc i inni też mogą. Wchodząc w ten świat, nie wchodzisz weń na wieczność. Ale czy można uogólniać ten wniosek? Niczego bardziej na świecie nie pragnę, jak tylko powiedzieć teraz: „tak”. Więc – „tak”, ale obawiam się, że mogę tego nie dożyć. Bo to może potrwać i 30 lat. Trend, o którym mówimy, jeszcze się nie wypalił. Najoptymistyczniejszy scenariusz brzmi tak: jeśli pozbędziemy się Trumpa za dwa lata, zaczniemy uzdrawianie relacji z krajami, które są naszymi tradycyjnymi sprzymierzeńcami, poszukamy wspólnie rozwiązań dla Środkowego Wschodu i zjednoczymy się w walce z globalnym ociepleniem. Obecnie to, co robi Trump, krzycząc *America First! America First!*, to powrót do jakiejś plemienności – to dokładnie odwrotność tego, co powinniśmy robić – możemy być *first* tylko wtedy, gdy będziemy tworzyć strategię wspólnotowości, inaczej czeka nas dezintegracja... To, co zarysowałem, jest najbardziej optymistycznym wariantem, a myśląc bardziej realistycznie – to wszystko może potrwać i 30 lat. Mogę nie dożyć, ale wierzę, że mój syn dożyje...